

JAK BY TO BYŁO...

Łukasz Piskorski

Wszystko mogło być inne. Ciągle mnie ta myśl prześladowała: że wszystko mogłoby być inne albo nie być wcale; że wszystko na tym świecie jest przypadkowe, nie spowodowane żadną koniecznością, bez żadnego sensu...

— Mircea Eliade, Wesele w niebie

*** Garść teorii, szczypta prywaty**

W ciągu doby, gdy powstawał ten tekst, w Polsce odebrało sobie życie kilkanaście osób. Niezliczona ilość miała pierwsze myśli samobójcze, bądź też ich nawrót. Co roku znika w ten sposób w naszym kraju populacja niedużego miasteczka. Tak, są to ludzie, którzy sami rozdysponowali swym losem — wedle uznania.

Czasem zastanawiam się, jakie są ostatnie myśli samobójcy. Czy jest to rozpacz, a może jednak ulga? Do tej pory pamiętam słowa mojej babci (rocznik 1928), która opowiadała, że gdy w latach 50. ubiegłego wieku chciała ze sobą skończyć, słyszała „cudowną muzykę” i głos, który wyraźnie powtarzał jej: „zrób to, uczynisz bardzo dobrze”. Nie mam powodów, by nie wierzyć tej relacji; nie znam bardziej racjonalnej osoby od

babci. Od śmierci wybawiły ją słowa kilkuletniej dziewczynki, późniejszej mojej rodzicielki: „Mamusi, a ja ciebie tak kocham!”. Wtedy miłość potrafiła jeszcze ratować.

Encyklopedia Powszechna PWN definiuje samobójstwo jako „celowe zachowanie samodestrukcyjne prowadzące do śmierci biologicznej”. Definicji jest oczywiście wiele, zatrzymajmy się jednak na tej. Jej typowa „suchość” nie przeszkodzi nam w dalszej opowieści. Prof. Brunon Hołyst, jeden z pionierów suicydologii (dyscypliny naukowej badającej przyczyny i następstwa samobójstw), stwierdził kiedyś, że ludzie nie zabijają się dlatego, że nie chcą żyć, a robią to dlatego, że nie wiedzą jak dalej żyć. To wielka różnica, której świat zdaje się nie dostrzegać.

O ile media każdego roku przedstawiają (ku przestrodze?) zatrważającą statystykę śmiertelnych wypadków na polskich drogach, o tyle zdają się zapominać o przewyższającej ją prawie dwukrotnie liczbie udanych targnięć na swe życie. Na światło dzienne i do publicznego dyskursu przedostają się tylko te przypadki, będące udziałem znanych osób, albo też najbardziej „efektywne”.

Znakiem naszych czasów jest pojęcie tzw. samobójstwa rozszerzonego, kiedy to morderca oprócz innych, zabija przy okazji siebie. Jest to oczywiście błędna nomenklatura, krzywdząca tych mono, którzy nikomu innemu nie robią psychicznej krzywdy w tym krytycznym momencie.

Pokutuje twierdzenie, że do ostateczności doprowadza człowieka depresja. Dr Włodzimierz Adam Brodniak z Polskie-

go Towarzystwa Suicydologicznego uważa to za nadużycie, jest to bowiem kumulacja wielu czynników, całego suicydogenego układu sytuacji. Wszystko od czegoś się zaczyna, ma swój początek. Nie jest tak, że człowiek budzi się i powtarzając za dawną reklamą batonu Mars, oznajmia uroczyście: „to dobry dzień by umrzeć”.

Niemniej, smutną prawdą jest, że ginący śmiercią samobójczą cierpią w przytłaczającej większości na minimum jedno schorzenie psychiczne. Tyle tylko, że z tym da się żyć. Schizofrenia, psychoza maniakalno-depresyjna czy też depresja – tutaj medycyna potrafi znakomicie sobie radzić, farmakologię łączy się z psychoterapią. Potrafi, bo nie zawsze może. Mimo różnych kampanii informacyjnych, wciąż istnieje społeczne tabu i ostracyzm wobec tych, którzy udają się po ratunek do psychiatrii. Łatka „wariata” stygmatyzuje. Trzeba dużej odwagi, aby zgłosić się po pomoc, a i wtedy najczęściej żyje się z tym faktem w ukryciu, tworząc sobie swoiste alibi wobec otaczającej zewsząd „normalności”.

Można chorować na serce, nerki, na płuca. Ale na psychikę? „Weź się w garść!”, „inni mają gorzej” – ileż banalnych rad słyszą tacy ludzie. Paradoks sytuacji polega właśnie na niemożności wzięcia się w garść. Kiedy jednak osoba potrzebująca trafi na terapię, za jej właściwy początek uważa się moment tzw. pęknięcia, czyli pisząc wprost: totalnego rozklejenia i łez, które wreszcie nie leją się na marne i w samotności. Od chwili tej ogromnie wiele zależy. Jakże prawdziwe są słowa jednej

z piosenek zespołu Coma, gdzie wspomina się, że „nadwrażliwość jest jak bilet w jedną stronę stąd”. Terapia pomaga wrócić z tej podróży, ale oczywiście niczego nie gwarantuje. Jak to w życiu.

Wśród naukowców pojawiają się jednak od dawna głosy, że przychodzimy na ten świat obarczeni samobójczym genem, który w odpowiednim momencie zadziała jak detonator. Przyszłość pokaże, czy będzie można zawczasu sprawdzić w teście DNA swoje autodestrukcyjne predyspozycje. Tylko, czy to coś da? Niekoniecznie, przecież powody targnięcia się na siebie zawsze mogą się znaleźć a samoświadomość zajdzie wtedy na dalszy plan. Nie wszystko da się przewidzieć i poddać kontroli.

Dramatyczną większość wśród samobójców stanowią mężczyźni, chociaż częściej próby podejmują kobiety. Śmierć następuje wtedy zazwyczaj przez powieszenie. Dlaczego się tak dzieje, dlaczego to właśnie oni są bardziej zdeterminowani i skuteczni? Po części odpowiedź możemy znaleźć w fakcie, że to właśnie mężczyźni żyją pod ustawiczną presją społeczną, muszą sprostać większym oczekiwaniom. Już w okresie dzieciństwa, płaczący chłopczyk jest ganiony za to, że dał upust swoim łzom. Uczy się go twardości. Fałszywie pojmowanej, dodajmy. Dziewczynka może sobie popłakać, może tupnąć nóżką. Czy o męskości ma stanowić fakt duszenia w sobie i kumulowania gniewu, bólu, nierzadko rozpacz? Nie. Jestem przeciwko takim faktom!

Istnieje pewne bardzo popularne słowo, często nadużywane. Słowo, którym można zabić: nieudacznik. Nieprzypadkowo jest ono rodzaju męskiego. Bardzo łatwo zostać nim obdarzonym. Wystarczy, że podwinie się nam noga, że pewien trybik tak starannie konserwowanej maszyny... nie zadziała. Czasem na początku wystarczy jedno słowo. Jest ono jak ziarno, na którym potrafi wyrosnąć całe pole chwastów oplatających duszę.

*** Czarny sport, czarne dusze**

Od teoretycznych rozważań o samobójstwie, przejdźmy do naszej opowieści; chociaż i tu nie uciekniemy od tego tematu, bynajmniej. Znacie powiedzenie, że sport to zdrowie? Tak, już pierwsze wyniki internetowej wyszukiwarki pokazują, że temat ten jest wciąż popularny w szkolnych wypracowaniach i rozprawkach. Młodzi adepci nauki zazwyczaj mają za zadanie uzasadnić jedynie słuszną tezę i odpowiedzieć na pytanie, dlaczego stawiany jest tutaj znak równości. Od dzieciństwa każą nam wierzyć, że aktywność fizyczna jest dobra, że pomaga zachować sprawność, wigor i właśnie zdrowie. Staramy się temu dawać wiarę.

Dlaczego? To pytanie, tyle że w innym kontekście od kilkunastu już lat zadają sobie miłośnicy żużla — dumnie nazywanego czarnym sportem, gdzie na arenie mierzą się ze sobą współcześni gladiatorzy, wojownicy zakuci w kaski, rozpędza-

jący się na swoich ryczących maszynach do setki. Sport ten, chociaż drużynowy, wynosi na wyżyny tylko zwycięzców, przegrani mogą już nie wracać na tor, czasem dosłownie. A wygrać na torze, nie oznacza wygrać poza jego rzeczywistością, w życiu. Niektórzy twierdzą, że krąży tutaj jakieś fatum. Na pewno wszechobecna jest samotność, nawet wśród tych, którym зда-je się kwitnąć życie rodzinne i towarzyskie.

† Tomasz

14 sierpnia 2018 roku media obiegła wiadomość o śmierci 39-letniego Tomasza Jędrzejaka. Świetny zawodnik (Indywidualny Mistrz Polski), wzorowy mąż i ojciec dwóch córek. Zawsze uśmiechnięty. Miał jeszcze jeździć pięć-siedem sezonów, tak zapowiadał Był w najlepszej formie od lat.

„Nic nie świadczyło o tym, że dojdzie do tej tragedii” — mówią ludzie z jego najbliższego otoczenia. Tajemnicą poliszynela jest, że Jędrzejak dostawał pogróżki, zniszczono mu karoserię samochodu. Grożono też jego rodzinie. Kibice z rodzimego Ostrowa Wielkopolskiego nie mogli mu wybaczyć, że na sportową emeryturę nie powrócił do nich, tylko wybrał odległy i konkurencyjny Rzeszów. Do swych ostatnich godzin zawodnik kreował w sieci wizerunek człowieka solidnego, ze stali, skupionego na pasji i rodzinie.

Nie miał wcześniej kłopotów z psychiką, nigdy nie podejmował żadnej próby odejścia. Wiedziano jednak, że był wrażli-

wy na krytykę, czytał komentarze internautów na swój temat. Czy przeczytał o jedno zdanie za dużo?

Śmierć żuźłowca Stali Rzeszów spowodowała, że jak bumerang powróciły wspomnienia sprzed kilkunastu lat, kiedy to w krótkim odstępie czasu powiesiło się trzech młodych zawodników ze ścisłej czołówki. Wspomnienia nadal są żywe, ich bohaterzy nie. Gorzką ironią jest, że po każdym z tych samobójstw, dziennikarze i komentatorzy mieli nadzieję, że już nigdy więcej do tego nie dojdzie, że to nie powtórzy się. Dochodziło. Wspominano o tym także z okazji corocznych memoriałów, również na krótko przed śmiercią Jędrzejaka.

† Robert

Wszystko zaczęło się w 2004 roku. Makabryczną listę otwiera Robert Dados, popularny Dadi. Jego życiowe motto brzmiało: „życie to jazda”. Pochodził z Piotrowic Wielkich, wsi niedaleko Lublina. Żużel był dla niego przepustką do wielkiego świata, do sukcesów, do sławy. Mimo tego, pozostał w pamięci jako skromny, chociaż nieco ekscentryczny człowiek. Zdobył tytuł Indywidualnego Mistrza Świata Juniorów.

Wszystko mu wychodziło, aż do pewnego feralnego dnia w Grudziądzu, gdy spiesząc się na trening GKM-u, jego motocykl zderzył się z polonezem. Nie było w tym winy Dadosa, jednak miał w kontrakcie zapis o zakazie szybkiej jazdy poza torem. Wywinął się śmierci, chociaż przyplacił to ciężkimi i rozległymi ob-

rażeniami. Lekarze nie dawali mu najmniejszych szans na powrót do sportu. Niezłomna wola wtedy zwyciężyła, lecz czas pokazał, że już nic nie było tak samo. Dadiemu szło coraz gorzej, nierzadko do mety dojeżdżał jako ostatni.

Postępowało szaleństwo i irracjonalne zachowanie. Przyszła depresja, stany psychiatryczne i dwie próby samobójcze. Odratowano go, zaczął się leczyć, potem przerwał branie leków psychotropowych. Do trzech razy sztuka, mawiają. Za trzecim razem udało się, nikt go nie upilnował. Jego organizm już nie walczył, zmarł w szpitalu 30 marca 2004 roku. Zostawił żonę i małego synka. Miał 27 lat.

† Rafał

O urodzonych w niedzielę zwykło się mówić, że mają najlepszą wróżbę na całe życie, że sprzyja im los, że wszystko co zdobędą, będą zawdzięczać szczęśliwym zbiegom okoliczności. Tylko co, jeśli ich linia życia na dłoni jest przerażająco krótka¹? Czy chiromanci przewidzieli takie połączenie?

Gdy Rafał Kurmański wydał pierwszy krzyk w jednym ze szpitali w Zielonej Górze, była właśnie niedziela. 22 sierpnia 1982 roku w komunistycznej Polsce trwał w „najlepsze” stan wojenny. Rodzice poznali się na styczniowym dancingu. Sielanka nie trwała jednak długo.

1. Taką linię życia miał właśnie Rafał Kurmański (na podstawie wspomnień jego przyjaciela Romka Piotrowskiego opublikowanych rok po śmierci).

Mały Rafałek dorastał pod opieką mamy i dziadków. To dziadek pierwszy zaprowadził go na stadion miejscowego Falubazu przy ul. Wrocławskiej 69. Wtedy pojawił się ten charakterystyczny błysk w jego oczach i chęć zostania żuźlowcem. Marzenia spełniły się. Chłopak miał duży talent, może jeden z największych w kraju. Szybko stał się wizytówką zielonogórskiego speedwaya, w przyszłości miał zostać liderem drużyny. Stawiano go za wzór sumienności i dojrzałego podejścia.

We wrześniu 2003 roku Kurmański miał poważny upadek na torze. Cudem nie doznał paraliżu, jednak najgorsza była świadomość grozy sytuacji, której to nie stracił ani na sekundę. Był przytomny. Ponoć to najgorsze. Koduje się wtedy w mózgu strach przed powtórką. Gdy pół roku później Kurmanek wracał do jazdy, nie był już tym samym zawodnikiem. Rozmawiał z najbliższymi o tym, że chce się wycofać ze sportu, jednak perspektywa tego, że oprócz żuźła, nic tak naprawdę nie potrafi robić w życiu, była silnym magnesem aby zostać, aby jeszcze spróbować.

Gdy brawurową jazdą zapewniał swojej drużynie powrót do żuźlowej elity, porywały go na rękach tłumy oszalałych ze szczęścia kibiców. Gdy szło mu gorzej, byli przy nim tylko dziennikarze, którzy pytali go monotonna o powód kolejnych przegranych zawodów. Nigdy nie wykręcał się, przyjmował wszystko dzielnie na klatę.

Koniec nadszedł wkrótce. Wstawały pierwsze ranne zorze, gdy w niedzielę 30 maja 2004 roku w jednym z pokoi hotelu

Qubus w Zielonej Górze, pętla zrobiona z linki holowniczej zadziergła się na szyi zawodnika. Drugi koniec linki oplatał klamkę od drzwi łazienki. Do ostatnich sekund Kurmanek mógł zmienić decyzję i podciągnąć nogi ku sobie. Nie zrobił tego, był śmiertelnie zdeterminowany. Śmiałości dodawał też alkohol. Na stoliku leżał pożegnalny list, a właściwie nakreślone naprędce dwa zdania. W pierwszym, skierowanym do swojej dziewczyny Moniki, Rafał zapewniał ją o miłości i przeproszał za swoje życie. Drugie zdanie dotyczyło znajomej. Powieszona ciało znalazła pokojówka wczesnym popołudniem.

Tragiczna wiadomość błyskawicznie rozeszła się po mieście i poszybowała dalej w świat dzięki Internetowi. Mecz zielonogórskiej drużyny z Unią Leszno rozpoczął się wkrótce, chociaż rozważano jego odwołanie. Koledzy jednak pojechali w hołdzie dla Rafała. Niestety, przegrali bardzo wysoko.

Kilka dni później promienie słońca, ryk motoru i kilka tysięcy ludzi żegnały piękną ciemnobrązową trumnę, w której spoczywało ciało w kombinezonie żużlowym i na której położono kask. Wkrótce spowiły ją ciemności. Mrok ogarnął także obietnicę wyjazdu z mamą do wymarzonej Kenii, planowanie ślubu i rodziny. Kurmanek spoczął na cmentarzu niedaleko stadionu, na którym spędził większość swego krótkiego życia.

Presja kibiców, działaczy i dziennikarzy, gdy przyszły pierwsze niepowodzenia, problemy z wymiarem sprawiedliwości (miał ponoć pobić miejscowego barmana), wreszcie fakt ode-

brania prawa jazdy przez policję za prowadzenie pod wpływem alkoholu tuż przed rozpoczęciem feralnej niedzieli – oto części składowe zabójczej mikstury samoświadomości, o których szeroko dyskutowano. Na pewno nie jedyne. Pewne jest, że Kurmański krzyczał wtedy do policjantów, że „zrobi jak Dados”. Nie rzucił słów na wiatr.

W jednym z ostatnich wywiadów, ze strony Kurmanka padły znaczące słowa, których nie usłyszano na czas i nie dotyczyły się one tylko słabszej postawy na torze: „jest mi ciężko, walczę, sam jestem, nie mam osobiście pomocy”. Pomoc nie nadeszła. Psycholodzy dopiero wchodzili do zawodowego sportu w Polsce.

22 sierpnia też przypadł na niedzielę. Rafał Kurmański skończyłby wtedy 22 lata. Zapewne pojechałby tego dnia w meczu z bydgoską Polonią, a urodziny przypieczętował dobrym wynikiem na torze. Jego pamięć uczciła cała Zielona Góra. Kibice kupowali książkę Kurmanek, jakiego pamiętamy, którą wspólnie napisali dziewczyna żużlowca i jeden z jego przyjaciół.

Dados i Kurmański byli dwójką z 6071 osób, które wedle oficjalnych danych Głównego Urzędu Statystycznego popełniły samobójstwo tamtejszego roku. Ile było ich naprawdę? Tego nigdy się nie dowiemy. Statystyki rosną z roku na rok. Ponoć mamy takie czasy.

† Łukasz

Łukasz Romanek był młodszy od Rafała Kurmańskiego tylko o rok, ale też był „niedzielnym” dzieckiem. Motory i żużel pochłaniały go całkowicie. Ci dwaj młodzi zawodnicy spotkali się na jednym torze w 2001 roku. Wtedy to Romanek zdobył Mistrzostwo Europy Juniorów, a Kurmański był tuż za nim na podium.

O Romanku nikt nigdy nie powiedział złego słowa, prócz fanatycznych kibiców ROW Rybnik, gdzie jeździł. Jak na swój wiek, był niezwykle ułożony, skromny, nie pił, nawet nie przeklinał. Zależało mu, był wrażliwy i wszystko kumulował w sobie. To go zgubiło. Podobno cały czas czytał opinie na swój temat na internetowym forum klubu. Nie były to wesołe opinie, chociaż wtedy pojęcie internetowego hejtu dopiero raczkowało. Grożono mu pobiciem, spaleniem samochodu, skrzywdzeniem bliskich. A jedyną „winą” Łukasza była wspomniana już wcześniej niemożność wzięcia się w garść, która nastąpiła po jednej z makabrycznie wyglądających kraks na torze. Zawodnik stracił wtedy cztery przednie zęby, doznał bardzo silnego wstrząśnienia mózgu. Gdy wrócił na tor, jego jazda się zmieniła, stała się niepewna i chaotyczna. Ostatnim sukcesem było jeszcze zdobycie mistrzostwa Polski juniorów.

Czuł ogromny strach, odpuszczał; stał się „naczelnym tchórzem” Rybnika. Łaska kibiców na pstrym koniu jeździ, od

bohatera do zera - te powiedzenia niestety trafnie oddają sytuację żuźłowca. Dopiero był uwielbiany, traktowany z największym szacunkiem. Gdy zaczęły się kłopoty, został zrównany z ziemią.

Łukasz Romanek powiesił się 2 czerwca 2006 roku w przydomowym garażu, gdzie zawsze dopieszczał swoje maszyny. Nazajutrz kilkuset kibiców zapaliło na torze znicze, mieli też zdjęcie Romanka. „Przepraszamy”, napisali na nim. Za późno. Nie ma chopa, jak to mówią na Śląsku. Zostawił zrozpaczonych rodziców i narzeczoną, z którą planował za rok ślub. Przeżył niespełna 23 lata.

† Piotr. Epilog Wertera

Wróćmy jeszcze na koniec do Zielonej Góry. Piotr Serafinowicz kończy właśnie 30 lat. Nie, nie kończy. On nie żyje od ponad 10 lat. Jednak portal nk.pl co roku pamięta o tym, by zaktualizować wiek na jego klasowym profilu. Benek, bo tak go nazywano, był najmłodszym mechanikiem w drużynie Rafała Kurmańskiego. Niejako sam się nim mianował, z czego był bardzo dumny. Uwijał się przy motorach, zaraz po skończonych lekcjach i zostawał do wieczora. Pomimo dużej różnicy wieku, żył się z Rafałem. Kurmanek był dla Piotra wzorem, autorytetem, był jak brat i ten, który spełniał swe marzenia. To właśnie dla niego Benek zrezygnował z uprawiania speedrowera, w którym odnosił pierwsze sukcesy.

Chciał poświęcić się zajęciu, które traktował jak pierwsze szlify w przyszłym zawodzie i wspólnej przygodzie na żużlowych arenach. Po samobójczej śmierci Rafała szedł milcząco, jak wszyscy w kondukcje żałobnym, tuż za jego trumną. Stracił wtedy nie tylko najbliższego przyjaciela, idola. Stracił przede wszystkim nadzieję.

Dwa lata później Benek miał wypadek. Ze starcia z autobusem nie wyszedł cało. Wycięto mu śledzionę, miał problemy ze słuchem. Już nie odnalazł się na stadionie. Zaczął jeszcze mocniej zamykać się w sobie, dusić rozpacz, podobno wpadł w złe towarzystwo.

12 sierpnia 2008 roku 19-letni Benek powiesił się. Znów padło znajome pytanie: dlaczego? Większość znających go, twierdzi do dziś, że chłopak „poszedł” za swym idolem Kurmankiem. Psycholog, dr Marcin Florkowski powiedział po jego śmierci, że mógł on traktować swoje życie jako „niechciane”. Czy zadziałał tu tzw. efekt Wertera? Po części na pewno, jednak prawdę o sobie i swoim życiu, chłopak zabrał ze sobą do grobu, jak każdy samobójca.

W galerii Piotra widnieją jego zdjęcia z Rafałem, na pamiętkę wspañałych chwil. Jest też kilka innych. Na ostatniej fotografii, wgranej kilka miesięcy przed śmiercią, której towarzyszy posępna mina Benka, ma on na głowie czapkę przyjaciela — ponoć nie rozstawał się z nią. Była jak relikwia. Nie ocalała go jednak.

Po wspaniałych zawodnikach został ból najbliższych, pamięć kibiców, coroczne memoriały i ta myśl, że wszystko mogłoby być inne albo nie być wcale...

Jak by to było, gdyby mnie nie było,
Jak by to było gdyby się nie wydarzyło,
co by się zmieniło, co by się skończyło,
bo jak by to było, gdyby mnie nie było².

2. Słowa refrenu ulubionej piosenki Rafała Kurmańskiego:
DKA Jak by to było.